

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

### COLE

Po opuszczeniu domu Culpeperów po prostu ruszyłem przed siebie. Miałem stare BMW Urlika i trochę pieniędzy i nie było nikogo, kto mógłby mi powiedzieć, żebym nie jechał.

W radio leciała piosenka zespołu, który grał kiedyś przed nami jako *support*. Na żywo okazali się tak porąbani, że czułem się przy nich jak grzeczny chłopiec, co było niezwykle w tamtym okresie mojego życia. W sumie powinienem był im podziękować za to, że na ich tle wypadliśmy tak dobrze. Ich wokalista miał na imię Mark, Mike, Mack albo Abel, czy jakoś tak. Po występie podszedł do mnie, zalany w trupa, i powiedział, że byłem jego największą inspiracją. Potrafiłem dostrzec między nami pewne podobieństwo.

Teraz, milion lat później, słuchałem, jak didżej opisuje ich singiel jako jedyny hit zespołu. Jechałem dalej. Wciąż miałem telefon Sama w kieszeni. Zadzwoił tylko raz, ale nie przejąłem się tym. Miałem wrażenie, że zostawiłem Isabel wiadomość, która nie wymagała oddzwaniania. Wystarczyło, że to powiedziałem.

Szyby samochodu były opuszczone. Trzymałem rękę na zewnątrz, a wiatr szarpał moja dłoń, która była wilgotna od napierającej mgły. Po obu stronach dwupasmowej drogi rozciągał się typowy dla Minnesoty krajobraz: skarłowaciałe sosny, przypadkowo rozrzucone skały, płaskie domki, jeziora niespodziewanie przebłykujące zza drzew. Pomyślałem, że mieszkańcy Mercy Falls chyba świadomie postanowili budować tak brzydkie domy, żeby zrównoważyć całe to naturalne piękno. Żeby miejsce nie eksplodowało od nadmiaru malowniczości.

Wciąż myślałem o tym, co powiedziałem Isabel. Że zastanawiam się nad nawiązaniem kontaktu z rodziną. To była niemal prawda. Myśl o telefonie do rodziców wydawała mi się jednak niemożliwa i niesmaczna. Na diagramie Venna<sup>\*</sup> część wspólna naszych zbiorów byłaby pusta.

Może rzeczywiście lepszym pomysłem był kontakt z Jeremym. Moim basistą-joginem. Zastanawiałem się, co porabiał beze mnie i Victora. Miałem nadzieję, że wykorzystał swoją kasę na wyjazd do Indii czy coś w tym stylu. Chciałem zadzwonić akurat do niego, bo on i Victor do tej pory znali mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Tak naprawdę o to chodziło w „NARKOTICE”: zespół był projektem mającym na celu poznanie Cole’a St. Claira. Jeremy i Victor poświęcili wiele lat życia na opisywanie tego szczególnego bólu bycia mną setkom tysięcy słuchaczy.

Robili to tak często, że mogli to robić beze mnie. Pamiętałem wywiad, w którym poradzili sobie tak dobrze, że praktycznie nie musiałem zawracać sobie głowy odpowiadaniem na kolejne pytania. Wywiad przeprowadzany był w naszym pokoju hotelowym. Z samego rana, bo potem musieliśmy złapać samolot. Victor miał kaca i był rozdrażniony. Jeremy zjadał się batonikami śniadaniowymi przy małym stoliku ze szklanym blatem. Ja wyszedłem na wąski balkon z widokiem na nic i położyłem się na betonie. Koncentrowałem się na robieniu brzusków, ze stopami zatkniętymi pod dolną obręcz balustrady. Dziennikarz usiadł po turecku na jednym z niezastanych łóżek. Był młody, spięty i miał na imię Jan.

- Więc kto zajmuje się pisaniem piosenek? – zapytał. – Czy może robicie to zespołowo?
- Och, tak, piszemy zespołowo – potwierdził Jeremy powoli. Przybrał południowy akcent mniej więcej w tym samym czasie, co przyjął buddyzm. – Cole pisze teksty, a potem ja przynoszę mu kawę, a potem Cole pisze muzykę, a Victor przynosi mu precelki.
- Więc to głównie ty piszesz teksty, Cole? – Jan podniósł głos, żebym go słyszał. – Skąd bierzesz tematy?

---

<sup>\*</sup> Diagram Venna – schemat służący do określania zależności pomiędzy zbiorami; ma postać figur geometrycznych na płaszczyźnie.

Z mojego punktu obserwacyjnego na balkonie mogłem obserwować dwie rzeczy: ceglane boki budynków po drugiej stronie ulicy oraz kwadrat wypranego z koloru nieba. Wszystkie miasta wyglądały tak samo, gdy leżało się na plecach.

Jeremy odłamał kawałek swojego batonika śniadaniowego. Wszyscy usłyszeliśmy spadające na stół okruszki. Z drugiego łózka, wciąż brzmiąc tak, jakby miał PMS\*, Victor oznajmił:

- On nie odpowie na to pytanie.

W głosie Jana brzmiała autentyczna konsternacja, jakby po raz pierwszy ktoś mu odmówił.

- Dlaczego?
- Po prostu nie odpowie. On nienawidzi tego pytania – wyjaśnił Victor. Był boso i trząsał stawami palców u stóp. – To trochę głupie pytanie, człowieku. Z życia, prawda? Z tego czerpiemy inspirację.

Jan nagryzmolił coś w notesie. Był leworęczny i pisanie w jego wykonaniu wyglądało niezręcznie, jakby był lalka Kenem ze źle przymocowanymi częściami. Miałem nadzieję, że notuje: „Nigdy więcej nie zadawaj tego pytania”.

- Okej. Hm. Wasza epka\* „Jedno. Albo Drugie” właśnie debiutuje na liście przebojów magazynu „Billboard”. Co myślicie o tym niewiarygodnym sukcesie?
- Kupię mojej matce BMW – oświadczył Victor. – Albo nie, kupię jej Bawarię. Tam produkują BMW, prawda?
- Sukces to pojęcie arbitralne – skwitował Jeremy.
- Następna będzie lepsza – rzuciłem. Nie powiedziałem tego wcześniej na głos, ale teraz to zrobiłem, więc to była prawda.

Jan znowu coś nabazgrał, a potem przeczytał kolejne pytanie ze swoich notatek.

- Eee, to oznacza, że pozbawiliście miejsca w topowej dziesiątce album zespołu „Human Parts Ministry”, który królował na niej przez czterdzieści tygodni. Przepraszam, czterdzieści jeden. Obiecuję, że w ostatecznej wersji wywiadu nie będzie przejęzyczeń. Joey z „Human Parts Ministry” powiedział, że jego zdaniem „Looking Up Or Down” tak długo utrzymywało się na liście, bo wiele osób identyfikowało się z tekstami z tego albumu. Czy myślicie, że słuchacze identyfikują się ze słowami z „Jedno. Albo Drugie”?

„Jedno. Albo Drugie” to był minialbum, którego utwory opowiadały o Cole’u na scenie i o Cole’u krążącym nocami po hotelowych korytarzach. O świadomości, że jestem otoczony przez dorosłych, którzy żyją tak, jak ja nigdy nie mógłbym żyć. O prześladowającym mnie uczuciu, że powinienem coś zrobić. O tym, że nie umiałem sobie znaleźć zajęcia, które miałyoby dla mnie jakieś znaczenie. Jakaś część mnie była niczym mucha tłukąca o szybę raz za razem. To był album o bezsensie starzenia się. O fragmencie utworu po raz pierwszy dobrze zagrany na pianinie. O czasie, kiedy zabrałem Angie na randkę, a ona miała na sobie zapinany sweter, w którym wyglądała jak własna matka. O ulicach, które kończyły się ślepych zaułkami i karierach, które kończyły się za biurkiem. O świadomości, że tak po prostu wygląda życie, a ja do niego nie pasuję.

- Nie – powiedziałem. – Myślę, że tu chodzi wyłącznie o muzykę.

Jeremy skończył swój batonik. Victor strzelił palcami. Ja obserwowałem ludzi wielkości zarasków przelatujących mi nad głową w samolocie wielkości mrówki.

- Czytałem, że byłeś chórzystą, Cole – zagadnął Jan, zaglądając do notatek. – Czy wciąż jesteś praktykującym katolikiem? A ty, Victor? Jeremy, wiem, że ty nie.

---

\* PMS (*premenstrual syndrome*) – zespół napięcia przedmiesiączkowego.

\* Epka (EP, *Extended Play*) – potoczna nazwa minialbumu, płyty dłuższej niż singiel, ale zbyt krótkiej, by mogła być nazwana albumem długogrającym.

- Wierzę w Boga – zadeklarował Victor, jednak nie zabrzmiało to przekonująco.
- A ty, Cole? – zachęcił mnie Jan.

Obserwowałem puste niebo, czekając na kolejny samolot. Miałem do wyboru to albo ślepe ściany budynków. „Jedno. Albo Drugie”.

- Oto, co wiem o Cole’u – zaczął Jeremy. Zamilkł na chwilę, przez co zabrzmiało to tak, jakby stał na ambonie. – Religią Cole’a jest stawianie czoła niemożliwemu. On nie wierzy w n i e m o ż l i w e . On nie wierzy w n i e . Religią Cole’a jest czekanie na kogoś, kto powie mu, że czegoś nie da się zrobić, tak żeby on mógł to zrobić. Cokolwiek. I nie ma znaczenia, co to będzie, tak długo, jak nie da się tego zrobić. Oto mit o stworzeniu świata według Cole’a: na początku był ocean i pustka, a Bóg zmienił ocean w świat, a pustkę zmienił w Cole’a.

Victor roześmiał się.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, że jesteś buddystą – zauważył Jan.
- Na pół etatu – odpowiedział Jeremy.

Stawianie czoła niemożliwemu.

Teraz sosny wyciągały się tak wysoko po obu stronach drogi, że miałem wrażenie, jakbym jechał tunelem do wnętrza świata. Mercy Falls znajdowało się już wiele kilometrów za mną.

Znowu miałem szesnaście lat i droga rozwijała się przede mną niczym obietnica nieskończonych możliwości. Czułem się czysty, rozgrzeszony. Mogłem jechać w nieskończoność. Dokądkolwiek. Mogłem być kimkolwiek. Poczułem, że las Boundary mnie przyzywa i po raz pierwszy uznałem, że bycie Cole’em St. Clairem już nie wydaje mi się przekleństwem. Miałem cel i to było to n i e m o ż l i w e : odnaleźć lekarstwo.

Byłem tak blisko.

Droga umykała pod samochodem, ręce zmarzły mi od wiatru. Po raz pierwszy id dawną poczułem się silny. Lasy zabrały tę pustkę, która była mną, a o której sądziłem, że nic jej nigdy nie zapełni, nie zaspokoi. Lasy sprawiły, że utraciłem wszystko. Nawet rzeczy, o których wcześniej myślałem, że nie chciałbym ich zatrzymać.

Ale ostatecznie byłem Cole’em St. Clairem, uszytym z nowej skóry. Świat leżał u moich stóp, a dzień rozciągał się na kilometry przede mną.

Wyjąłem komórkę Sama z kieszeni i wystukałem numer Jeremy’ego.

- Jeremy – rzuciłem do słuchawki.
- Cole St. Clair – odpowiedział powoli i z lekkością, jakby nie był zaskoczony.

Po mojej stronie linii na chwilę zapadła cisza. A ponieważ mnie znał, nie musiał czekać, aż to powiem.

- Nie wracasz do domu, prawda?